

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

17.9.72

38 (774) ROK XV

Cena 1,50 zł

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WYTŁUMACZENIE

można znaleźć zawsze

Będków w powiecie brzezińskim to wioska przypominająca raczej małe miasteczko, zwłaszcza tu, gdzie przecinają się drogi do Ujazdu i Piotrkowa. Długi rząd pawilonów handlowych i nieopodal budynek, w którym mieści się poczta. Tam właśnie miałem ochotę spytać o gospodarstwo Jana Opasa, ale

niektórzy mu zazdroszczą, ale nie ma nikogo, kto by o nim nie słyszał. Do kolonii prowadzi rozmożliwiona droga, wąska i pełna wadółów. Dobra na traktor, ale niepewna nawet dla silnego konia. Po obu jej stronach rozłożyło się dwadzieścia gospodarstw, przeważnie kilkhektarowych. Opasa należy do większych, bo on obrabia 12 hektarów.

Szansa młodych

Konrad Frejdlich

ZIEMIĘ TRZEBA POKOCHAĆ

okazało się to niepotrzebne bo przejeżdżająca na rowerze młodziarka słysząc moją rozmowę z redakcyjnym kierowcą, powiedziała:

— A, to trzeba się cofnąć, na kolonię. Bo Opasa, chociaż mieszka na uboczu, zna tutaj każdy w promieniu kilkunastu kilometrów. Wielu go podziwiał,

Spotykam go w sadzie, gdzie z kolegą, ubranym jak i on w roboczy kombinizon, rozbebesza stary traktor.

— Pan, to pewnie z prasy — powiedział, kiedy się zbliżyłem wymachując noteselem. — A ja akurat jadę sprzedając

Dalszy ciąg na str. 6

Zaraz po połowie roku, kiedy jeszcze część pracowników odpoczywa na urlojach, w przedsiębiorstwach i instytucjach dokonuje się oceny wyników pracy w pierwszym półroczu. Pozwala to uważnie przyjrzeć się brakom i niedostatkom, przyczynom zahamowań i zakłóceń. Pozwala też skoncentrować uwagę na słabszych punktach gospodarki, aby nadrobiąc opóźnienia można było koniec roku skwitować spokojnym stwierdzeniem: wykonaliśmy plan!

Czy wszystkie przedsiębiorstwa Łodzi i województwa łódzkiego będą mogły tak stwierdzić pod koniec 1972 roku?

Dalszy ciąg na str. 6

JERZY DARNAL

Szach story

Kiedy piszę te słowa mecz szachowy o mistrzostwo świata w Reykjaviku został strzygnięty na korzyść pretendenta. Mecz stulecia, jak go szybko ochrzęcza skłonna do przesady prasa wszystkich krajów, choć trzeba przyznać jednocześnie — mecz, który wywołał zainteresowanie prze-

kracające zwykłą miarą dla tego typu spotkań. W cień usunięte zostały inne doniesienia prasowe z Islandii łączące z głośną „wojną śledziową”. Kwadratowa deska o sześćdziesięciu czterech białych i czarnych polach, przy której zasiadli Bobby Fischer i Borys Spasski, jest dziś

bacnie śledzona nawet przez tych, którzy programowo lekceważyli szachy jako dyscyplinę sportu pozbawioną walorów wizualnych.

Niewątpliwie zainteresowanie meczem w Reykjaviku

Dalszy ciąg na str. 5

— Ona jest całe życie kałką. Całe życie. Ma 32 lata. Gdzie ja z nią nie byłam! Wciąż się włóczę, a to do Buska, a to do Polanicy, tu sanatorium na serce, tam na nerki, żeby coś z tą nogą zrobić, coś zrobić! Nic się nie robi, sama pani widziała i słyszała — tylko inna protezę. Może będzie lepiej chodzić...

...chce pani wiedzieć, jak to się stało? Opowiem pani, ale cała się trzęsę, bo ja to przeżywałam, stała się sama, jak wtedy...

...7 kwietnia 1940 roku Królewiec był już spalony. O 5 po południu zbliżali się do nas, do Matyniowa. Widzieliśmy jak Królewiec się palił, a potem zapaliły się dwa domy w naszej wsi. A na szosie — Jezu! — co dwadzieścia metrów na tej szosie z Kielc do Końskich stały działa. Kto się ruszył — zabijali. To właśnie wtedy, o 5 po południu mój stary ojciec powiedział: dzieci, oni będą palić wszystkie wsie, weźcie konia, zaprzęgnijcie do woza, włóżcie tam pościel i mnie (leżałem chory na serce i stawy). Miałam wtedy ja — 11-miesięczną Zosię — swoją córeczkę na ręku. Podałam ją mężowi i... nagle patrzę, jak z ręki męża i nóżki dziecka leci krew. To kula wpadła

przez okno, ranila męża w rękę, a dziecku przetrzebiła nóżkę. Złapałam dziecko. Pobiegnęłam do niemieckiej żandarmerii, pokazuję, mówię, że kula wpadła do domu. A oni mi mówią, że to „zrobili wasi bandyci”. Dali mi przepustkę do szpitala do Końskich. Trzy dni minęły nim się tam dostałam. Aż

Zofia Tarnowska

Ruszyli szlakiem

HUBALA...

dziw, że mnie po drodze nie rozstrzelali. Ile razy ręce podnosiłam do góry, a dziecku kładłam na ziemi. Miesiąc byłam w szpitalu w Zosi. Kość była zdruzgotana. Gniła. Z ropą wychodziły kawałki. Do listopada nie goiło się. Nie chodziła. Trzy lata ją nosiłam, jak niemowlę. Przeszczepili kość, potem jak miała 15 lat, obłożono mięśniami. Ale to nie

noga. Sama pani widziała. Kałka ona. Jak cała nasza Kielecczyna. Zemszcili się na nas. Zemszcili. Za hubalowe bohaterstwo.

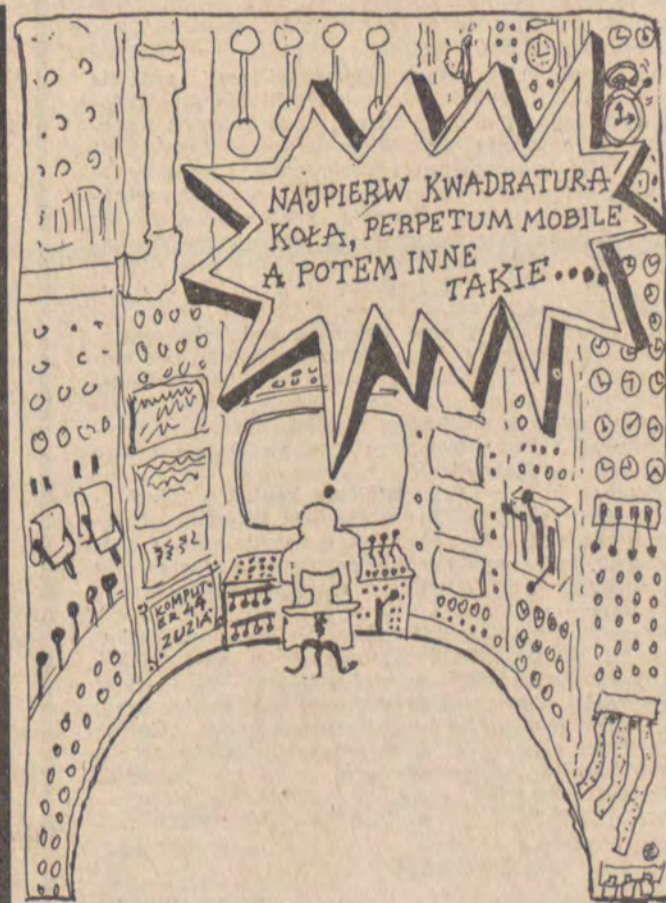
Poszli szlakiem majora Hubala. Wędrowka letnich obozów społeczno - nauko-

wał tak żywa, jak ogień, który strawił Huciska, Skłoby, Królewiec, Galki, Stefanów, Szałas...

O jednej z tych wsi pisał Melchior Wańkowicz w „Hubalczykach”: „Wymarła stoi wieś Skłoby, wykopalisko jakieś, ni to Biskupin nowy, który zostanie pokoleniom tej wojny na znak...”

Wszystkie one na kształt wykopalisk malowały krajobraz Kielecczyny, a życie, które się od owych dni toczyło przez lat trzydzieści, nie zatarło śladów wielkiej zbrodni ludobójstwa. Wiele pokoleń przeminie, ale z historii śladów nie wymażesz. Trzecie pokolenie się rodzi i uczy się pieśni od Heleny

Dalszy ciąg na str. 4



Rys. A. Grun

„Wielki Proletariat” - wrzesień 1882 - wrzesień 1972

Na początku września 1882 roku ukazała się w Warszawie programowa odezwa Socjalno-rewolucyjnej Partii „Proletariat”, która jako naczelny cel swojej walki stawiała socjalizm. Była to pierwsza polska partia socjalistyczna, w swoich założeniach programowych opierająca się na marksizmie. Następne pokolenia rewolucjonistów nadali „Proletariatowi” zaszczytne miano Wielkiego, uznając tym samym jego fundamentalny wkład do dziejów polskiego ruchu robotniczego.

W ogłoszonej drukiem we wrześniu 1882 roku odezwie działacze „Wielkiego Proletariatu” stwierdzili:

„Wyzwolenie klasy pracującej spod ekonomicznego, polityczno-socjalnego i moralnego ucisku powinno być dziełem samych robotników. Wielkie to zadanie socjalistycznego przewrotu proletariatu polski dokonać potrafi, odpowiednio przygotowawszy się do roli, jaką mu historia wyznaczy”.

Był to dopiero początek drogi, jaką miał do przebycia polski proletariat, rozwijający się w owym czasie ilościowo przede wszystkim w warszawskim, łódzkim, białostockim i częstochowskim okręgu przemysłowym.

1.

ŁÓDZKI OKRĘG poza Łodzią — wielkim centrum przemysłu włókienniczego — tworzyły wówczas Zgierz, Pabianice i Tomaszów Mazowiecki. Tutaj — w atmosferze patriotycznego wrzenia — doszło w kwietniu 1881 roku do robotniczych zaburzeń. Tkacze i czeladnicy zaatakowali fabrykę Prussaka a następnie Scheiblera, niszcząc tkalnie mechaniczną i przedziałnię bawelny. Bunt stłumiło wojsko carskie, ale łódzcy robotnicy zrywem tym uświadomili sobie własną siłę, poznali możliwość walki o swoje prawa. Uświadomili sobie też, że to nie nowe maszyny są przyczyną ich stałego pogarszania się ich położenia, ale ludzie, którzy są tych maszyn właścicielami, a których prawa do wyższemu broni carat z wojskiem i żandarmerią.

Następne lata przyniosły dalsze strajki łódzkich robotników, które miały miejsce w Łodzi i Zgierzu. Były to już wspólne, choć jeszcze słabo zorganizowane, wystąpienia robotników kilku fabryk. Był to dalszy dowód kształtującej się świadomości polskiej klasy robotniczej. Świadomość, której potrzebna była siła kierownicza — partia. Nic więc dziwnego, że z chwilą powstania „Wielkiego Proletariatu”, który przede wszystkim szukał oparcia w proletariacie okręgu warszawskiego, oczy rewolucjonistów skierowały się też na Łódź i jej okoliczne miasta przemysłowe.

2.

W najwcześniejszym okresie działalności „Wielkiego Pro-

Początek drogi



fariatu” w Łodzi i Zgierzu powstały organizacje partyjne, ale najintensywniej działały w 1883 roku. Ich pracą z ramienia Komitetu Rewolucyjnego, przekształconego później w Komitet Centralny, kierował Hilary Gostkiewicz, który z polecenia partii przenosił się do Łodzi i tu osiadł. W Łodzi pierwsze kółka fabryczne powstawały u Poznańskiego, Eiserta i Schmidta. Powstały też kółka, w skład których wchodziły robotnicy warsztatów rzemieślniczych: szewskich, stolarskich i innych. Podobne kółka powstały też w Zgierzu, gdzie utworzono nawet dwie dzielnice — Stary i Nowy Zgierz.

Komitet Centralny „Proleta-

riatu” wydał odezwę do robotników Łodzi i jej okolic. Autorem tej odezwy był Stanisław Kunicki. Przelumaczono ją również na język niemiecki, aby móc w ten sposób dotrzeć również do robotników narodowości niemieckiej. Fakt wydania specjalnej odezwy, adresowanej do łódzkich robotników, stanowił dowód uznania dla rozwoju pracy partyjnej w tym okręgu.

3.

We wrześniu 1883 roku nastąpiły liczne aresztowania działaczy „Wielkiego Proletariatu”. Aresztowano również Ludwika Waryńskiego. W następnym miesiącu carska poli-

cja, świadoma już faktu istnienia partii, posługując się prowokatorami, aresztowała działaczy „Proletariatu” w Łodzi i Zgierzu. Łódź opuścili wtedy Hilary Gostkiewicz, a zastąpił go wkrótce Mieczysław Mańkowski i Stanisław Pacanowski.

Organizacje partyjne Łodzi i Zgierza nie miały w tym czasie kontaktów z miejscową inteligencją, zdolną kierować ich pracą. Stąd konieczna była pomoc Komitetu Centralnego „Proletariatu”. Warszwawscy wysłannicy, zaraz po przybyciu do Łodzi, skontaktowali się z Józefem Witwickim, który pomógł im w spotkaniu z działaczami organizacji partyjnych Zgierza: Teofilem

Blochem, Kazimierzem Tomaszewskim i innymi, a także z działaczami łódzkimi. Praca partyjna potoczyła się dalej. Wysyłano ostrzeżenia do fabrykantów, którzy brutalnie obchodzili się z robotnikami, kolportowano prasę partyjną, organizowano przemysł nielegalnych wydawnictw przez granicę niemiecką w okolice Kalisza. Przygotowano nawet wysadzenie w powietrze składów fabryki Poznańskiego, ale zamiaru tego nie spełniono.

Policia carska nadal uważnie śledziła poczynania działaczy „Proletariatu”. Śledzono m. in. Stanisława Sławińskiego, który przybył do Łodzi na miejsce odwołanego Stanisława Pacanowskiego. Prowokatorzy, którzy przeniknęli w szeregi partii ujawnili wiele konspiracyjnych adresów, przyczyniając się tym do aresztowania wielu działaczy „Proletariatu” z Łodzi i Zgierza. Ale i te aresztowania nie rozbiły partii, choć zahamowały jej działalność. Komitet Centralny „Proletariatu” skierował w tym czasie ponownie do Łodzi Hilarego Gostkiewicza, który zamieszkał tutaj pod nazwiskiem Leona Radomskiego. Nie było mu łatwo rozwijać pracę partyjną w łódzkim okręgu, gdyż był to okres kryzysu, a robotnicy byli zniechęceni i przygnębieni trudną sytuacją życiową swoich rodzin.

4. Po aresztowaniu Ludwika Waryńskiego i objęciu kierownictwa „Proletariatu” przez Stanisława Kunickiego, nastąpił w działaniu partii poważny zwrot. Wiele uwagi poświęcano wówczas działalności terrorystycznej. Po uwieszeniu Stanisława Kunickiego i objęciu kierownictwa partii przez Marię Bohuszewiczównę nadal trwały zamachy. Po jednym z nich uciekł do Łodzi Michał Ossowski. Stanisław Gostkiewicz załatwił mu pracę i mieszkanie. Michał Ossowski poczuł się w Łodzi bezpiecznie, zatracił czujność i dostał się pod wpływy niejakiego Mazurkiewicza, będącego na usługach carskiej ochrony. Agent tajnej policji wciągnął M. Ossowskiego w dyskusję o ruchu robotniczym, zdobywając tym zaufanie Proletariatu, który w końcu zaprosił go do mieszkania Stanisława Gostkiewicza. Nastąpiły aresztowania, a przy ich okazji w ręce carskiej policji wpadł też Julian Dreszer, który akurat przyjechał do Łodzi z instrukcjami od KC „Proletariatu”.

5.

26 stycznia 1886 roku wykonano wyrok śmierci na 4 proletariatach: Stanisławie Kunickim, Piotrze Bardowskim, Michale Ossowskim i Janie Pietrusińskim. Pozostali poszli za katów lub osadzili w więzieniach. Tragicznie zakończył się pierwszy etap rozwoju polskiego ruchu robotniczego i choć przez pewien czas nastąpiło jego osłabienie, to przecież nie przepadły i nie zmarnowały się owoce tej pracy. Po nich przyszli inni, którzy podjęli sztandar walki o wyzwolenie polityczne, narodowe i społeczne. Jedną bowiem z najchlubniejszych cech polskiego ruchu robotniczego jest jego ciągłość, jedność rewolucyjnych tradycji, w których zawsze na plan pierwszy wysuwała się troska o dobro narodu, wierność socjalizmowi i najgłębszy internacjonalizm.

Te zasady, sformułowane w programie „Wielkiego Proletariatu” możemy odnaleźć w programach wszystkich późniejszych partii robotniczych, a przyświecają one również kontynuatorce wielkich tradycji polskiego proletariatu — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, której program realizujemy wszyscy w codziennej pracy.



SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!
Kiedy redakcja „Literatury” ogłosiła ankietę, napisano (czyt. z pamięci): „redakcja nasza zwróciła się z prośbą o odpowiedź do wielu wybitnych (podkreślenie moje — Z. J.) pisarzy i krytyków”. Przejrzałem nazwiska owych „wybitnych pisarzy i krytyków” i pomyślałem:

jak to łatwo zostać wybitnym pisarzem, wystarczy napisać kilka średnich, w miarę dobrych książek i już... Ostatnio, często zdarza się, że zatracamy hierarchię wartości i ocen; tytuł mamy wybitnych pisarzy i ciągle przeciętną produkcję literacką.
Ale ad rem: do powyższych uwag doskonale pasuje jedno zdanie z felietonu „Teleobiektyw” z ostatnich „Odgłosów”. Jan Jarosław Tarno w skądinąd słusnych uwagach na temat programu pn. „Studienka estrada”, po czym słuch o studentach (aż do FAMY-72) zagał. Panowie z LOTV, studentów macie prawie pod ręką. Łódź to przecież jeden z najsilniejszych kulturalnie ośrodków akademickich w Polsce. Tutaj jest przecież aż 7 dobrych czy wybitnych (Teatr 77) teatrów studenckich, tutaj mamy grono prawdziwie dobrych piosenkarzy studenckich (Maria Kaźmierczak, Krzysztof Specjał, Anna Grzeszczak, że wymienić tu tryztyko nazwiska ze Studia Piosenki im. Powoły z Taczewa). Wystarczy się tylko dobrze rozejrzeć. Nawiasem mówiąc i „Odgłosy” mogłyby studenckiej kultu-

rze więcej miejsca poświęcić. Ale to już apel do Pana, Panie Redaktorze.
Tyle więc uwag nasunęło mi się przy lekturze ostatniego „Teleobiektywu”.
Pozostaje w szacunku
ZDZISŁAW JASKULA

OD REDAKCJI:
Przyjmujemy z pełnym zrozumieniem uwagi naszego Czytelnika i chcemy nie tylko jego zapewnić, że w przyszłości będziemy się starać więcej uwagi poświęcić środowisku studenckiemu. A szczególnie kulturalnemu dorobkowi studentów, który oceniamy wysoko.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE
W felietonie red. Jerzego Wilmańskiego pt. „Igrzyska” przeczytałem, że za Spasskim stoją 3 miliony szachistów radzieckich, a ja czytałem w „Zyciu Warszawy” o... kilkudziesięciu milionach szachistów w Związku Radzieckim. Niby drobiaz,

ale tu chodzi przecież o zbyt wielką (liczebną) różnicę. Kto więc popełnił błąd?
JANUSZ LATECKI

OD REDAKCJI:
Nikt nie popełnił błędu — po prostu chodzi o dwie różne sprawy. „Zycie Warszawy” pisało rzeczywiście w artykule St. Gawlikowskiego o „kilkudziesięciu milionach grających w szachy”. Natomiast cyfrę 3 mln szachistów, zrzęsionych w klubach, a więc grających niejako zawodowo podał amerykański magazyn „Newsweek”. Różnica jest mniej więcej taka, jak między kołarami, a tymi, którzy po prostu jeżdżą na rowerze.

Jerzy Wilmański
OD REDAKCJI:
My, wczasowicze z Sulejowa, gorąco popieramy redakcję „Od-

głosów” w sprawie zakazu jazdy motorówkami po wodach śródlądowych. Zakazem takim objęto już Zalew Żegorzyski. I słusznie. Mamy nadzieję, że przyszedł Zalew Sulejowski też będzie chroniony.
Ludzie przyjeżdżają latem nad rzekę czy jezioro po ciszę czy wypoczynek, a wszelkie motorówki i kajaki z motorami, nie tylko, że ten wypoczynek swym warkotem zakłócają, ale równocześnie zatruwają spalinami powietrze i wodę. Rzeczywiście, niektóre wysoko rozwinięte kraje europejskie, już dawno zakazały używania motorów do pojazdów wodnych. Motorówkami po rzekach i jeziorach wolno tam pływać tylko służbie ratowniczej i policji wodnej. Obywatele tych krajów uznali ten zakaz za słuszny i rozsądny, i nikt widocznie tam nie protestował. Nie widzimy przeszkód, żeby i u nas taki zakaz obowiązywał. Za wprowadzenie w życie naszego postulatu z góry naszym władzom dziękujemy.

W CZASOWICZE Z SULEJOWA
12 podpisów

(Dalszy ciąg ze str. 1)

jest częściowo pochodną ek-

Amerykański tygodnik „Time”

SZACH STORY

matką i od tej pory poświęcił

— „Dlaczego miałbym zajmować

Dziś, gdy ma lat 29, w wywiadzie

Już choćby to wskazuje różnicę

Tak więc, jak już o tym była mowa,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

ski spotykali się już pięć-

Tak więc Fischer zwrócił na siebie

Fischera, jest to tak, jakby się

Nie ma pewności, czy tej opinii

Dziś, gdy ma lat 29, w wywiadzie

Już choćby to wskazuje różnicę

Tak więc, jak już o tym była mowa,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytał.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

sady prasa burżuazyjna, która

Ale i prasa amerykańska nie patrzy

Fischer już w trzeciej partii

alny mistrz świata. Kryzys Spasski

Po stokroć ma rację Jerzy Panasewicz,

Trzeba zresztą przyznać, że Fischer

JERZY DARNAL

Wytłumaczenie

(Dalszy ciąg ze str. 1)

ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU WELNIANEGO „WATINA” w Łęczycy.

II.

I

W ŁODZI zakłady przemysłowe

W WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM

Ograniczenie się tylko do procentowego określenia stopnia

Przy tym wszystkim warto pamiętać,

WYTŁUMACZENIE MOŻNA ZNALEZĆ ZAWSZE.

Przykładem mogą być postoje maszyn,

Podobnie wygląda sprawa z NIEUSPRAWIEDLIWĄ

SZANSA MŁODYCH ZIEMIĘ TRZEBA POKOCHAĆ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

to żelazo — wskazał „Ursusa”.

— Złoty? — Zapytałem, żeby

— Gdzie tam — uśmiechnął się.

I poszedł myć ręce powalane smarami.

Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

— Rozmowa rozkręcała się powoli,

konkursie Młodych Mistrzów

— Teraz? — Zapytałem.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

— Teraz? — Zapytałem.

Kartki panu nie starczy, tak jestem

— A ile głupstw narobiłem na początku,

wo-Pożyczkowej. Bylem także

Zona Opasa milczała, nawet

Kiedy zmarł, schedę przejęły

— A ile głupstw narobiłem na początku,

Toteż musiał dorabiać, zatrudnił się

— A ile głupstw narobiłem na początku,

nie mu się powiększyła, przyszły

— I wie pan — przyznaje —

— I wie pan — przyznaje —

— I wie pan — przyznaje —

— I wie pan — przyznaje —

— I wie pan — przyznaje —

— I wie pan — przyznaje —

można znaleźć zawsze

nie we wszystkich fabrykach i nie we wszystkich gałęziach przemysłu. W przemyśle chemicznym np. wyniosła tylko 88,8 proc. tego, co było w roku ubiegłym, w budownictwie — 75,7 proc., za to w energetyce wzrosła o 59,3 proc., a w przemyśle spożywczym — o 21,7 proc. I chyba znów nie można zgodzić się z poglądem, że lekceważący stosunek do pracy jest niez-

ależny od atmosfery panującej w przedsiębiorstwie, że nie można temu przeciwdziałać.

A to wszystko nie są jedynie przyczyny złej pracy fabryk. Są to jednak wszystko także przyczyny, które można i trzeba usunąć, gdyż inaczej postulat rytmicznej i wydajnej pracy będzie nadal tylko popularnym i często powtarzanym postulatem.

ZAKŁADY MECHANICZNE im. J. Strzelczyka — „JOTES — PONAR” są jednymi z tych, które nie wywiązały się w pierwszym półroczu bieżącego roku ze swoich planowanych zadań. Miesięcznych planów nie wykonano w styczniu, marcu i czerwcu. Również lipiec

nie przyniósł poprawy, gdyż na ten miesiąc zaplanowano urlop dla pracowników działu montażu. Gotowa produkcja w lipcu równa była prawie zeru i dopiero w sierpniu br. nadrobiono część zaległości. Ale do odrobienia pozostało jeszcze sporo.

Kierownictwo ZM „JOTES-PONAR” szuka jednak rozwiązania nie doraźnego, które pozwoliłoby dogonić plan i zakończyć rok westchnieniem ulgi, ale takiego, które zapobiegłoby w przyszłości wszelkim zahamowaniom. Dlatego wiele uwagi zwrócono na **dyscyplinę pracy**, gdyż wszystkie zaburzenia, jakie powstają w poszczególnych wydziałach, przy produkcji elementów szlifarki, odbijają się w konsekwencji na rytmie pracy wydziału montażu. Chodzi więc o możliwość pełnego wykorzystania czasu pracy, aby w wyniku tego dopływ elementów szlifierek umożliwił prawidłowy i terminowy ich montaż.

Kierownikom poszczególnych wydziałów przydziela się zadania nie w stosunku do ilości ludzi, jakimi dysponują, ale w stosunku do ilości stanowisk pracy, jakie są na danym wydziale. Czują się oni w ten sposób odpowiedzialni za stan zatrudnienia i starają się dobierać dobrych fachowców i właściwie ich wykorzystywać. Czują też nad dyscypliną pracy i formalnym jej przestrzeganiem.

FORMALNA DYSCYPLINA PRACY jest dopiero pierwszym krokiem do zmian, jakie przygotowuje się w fabryce. W gruncie rzeczy nie jest to nic nowego, ale w określonych warunkach ZM „JOTES-PONAR” może przynieść znaczne korzyści. Obecnie każdy robotnik ma obliczony czas potrzebny na wykonanie poszczególnego detalu. W jednym przypadku jest to czas obliczony z pewną rezerwą, a więc daje robotnikowi możliwość zrobienia większej ilości detali bądź zaoszczędzenia sobie czasu na wykonanie detali, które wymagają dłuższego czasu niż ustalono, bo takie wypadki zdarzają się. Zmiana

tego systemu ma polegać na zastąpieniu czasu pieniężnym. Wykorzystanie czasu pracy i wydajność robotnika mierzyć się będzie wartością wykonanej pracy. Im więcej robotnik zrobi tym więcej zarobi. Zakład nosi się z zamiarem przejścia na tygodniowy system wplat, co wymaga pewnej przebudowy działów rachuby. Dąży się do tego, aby każdy wydział miał swoich rachmistrzów i aby oni obliczali zarobki na bieżąco. Wymaga to szeregu zmian organizacyjnych, które powinny fabryce i robotnikom znacznie się opłacić.

Dla usprawnienia pracy fabryki trzeba również uporządkować stan i strukturę zapasów, aby umożliwiły one rytmiczną pracę wszystkich wydziałów. Osobną sprawą jest poziom i jakość produkcji, a i w tej dziedzinie ZM „JOTES-PONAR” ma wiele do odrobienia.

IV.

W ocenie rozwoju gospodarki pierwszego półrocza 1972 roku nie można pominąć **BUDOWNICTWA**. Prawidłowy przebieg procesów inwestycyjnych ma bowiem zasadnicze znaczenie dla zmian w metodach gospodarowania, pozwala przyspieszyć modernizację przemysłu, wprowadzać nowe techniki i technologie, a także tworzyć nowy i większy potencjał produkcyjny. Proces ten jednak nie przebiega tak rytmicznie, jak można byłoby tego spodziewać się.

W **WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM** wystąpiły pewne zahamowania przy budowie **CEMENTOWNI „WARTA — II”** w Działoszynie, gdzie zadań swoich nie wykonała „**HYDROBUDOWA — 3”** z Katowic, **WYTWÓRNI KONSTRUKCJI STALOWYCH „MOSTOSTAL”** w Radomsku, gdzie jeszcze w czerwcu nie był przygotowany plac budowy, a także przy budowie **ZAKŁADÓW METALOWYCH PRZEMYSŁU MASZYN ROLNICZYCH** w Skłęczkach koło Kutna.

W **ŁODZI** natomiast przedsiębiorstwa budowlane

nie wykorzystwały swoich możliwości przy budowie **CENTRALNEGO LABORATORIUM PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO, PRZEDZIALNI CZESANKOWEJ „POLANIL”,** piekarni i pralni na Nowych Sadach czy **DOMU WŁÓKNIEN Sztucznych**. Nie wykorzystywały też swoich możliwości przy modernizacji **ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU JEDWABNICZEGO** im. gen. W. Wróblewskiego i **ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU PASMANTERYJNEGO**.

Opieszale postępowała budowa hotelu przy ul. Hutorka, Domu Rencisty Włókniarza i hotelu robotniczego dla Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego.

Co więcej zadań swoich nie wykonały 4 przedsiębiorstwa budownictwa mieszkaniowego: **ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO — 1, ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO — 3, ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA UPROMIENIONEGO I ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA WIELKOPŁYTOWEGO „Dąbrowa”**.

W trzech ostatnich przypadkach źródło niepowodzeń znajduje się w „Dąbrowie”, która przygotowuje prefabrykaty dla siebie, LPBU i LPBM 3. Przechodzi ona z produkowanych do tej pory elementów „Dąbrowa — 64” na elementy „Dąbrowa — 70” i nie może dawać ich w wystarczającej ilości dla wszystkich kontrahentów. Trudności te muszą być jednak szybko przezwyciężone, gdyż nie wolno zapominać, że przy przebudowie miasta potrzeba coraz większej ilości mieszkań. Jest to podstawowy warunek powodzenia w realizacji programu modernizacji i rozbudowy Łodzi.

Ale przestrzeganie prawidłowości procesu inwestycyjnego wynika nie tylko z tego powodu. Ma to zasadnicze znaczenie dla przyszłości całej gospodarki. Doskonalenie metod pracy, zarządzania i gospodarowania musi zatem odbywać się we wszystkich działach gospodarki narodowej. Inaczej nie odrobimy zaległości i nie utrzymamy się na właściwym poziomie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



tych siedem na pastwisku. A to są właśnie nowoczesne krowy.

Urwał, jakby się nagłe obawiając, że zbyt wiele ujawnił ze swoich planów. W rzeczywistości tylko się skoncentrował, bo oznajmił rzeczowo:

— Te obory zacząć budować w 1974 r. No, to już pan teraz wie.

Spojrzałem na żonę Opasa, siedziała nieporuszona. Musieli nie raz o tym rozmawiać, nie wydawała się zaskoczona tym wyznaniem dotyczącym terminu.

Ale ja, nawet tak szczegółowo wtajemniczony w ich plany, wciąż jeszcze nie potrafiłem zrozumieć, co złożyło się na niewątpliwą sukces Jana Opasa, który przyniósł mu rozgłos w okolicy. Bo przecież spośród 280 tysięcy gospodarstw rolnych w województwie łódzkim, tylko nieliczne mogą się pochwalić równie dobrymi wynikami. A Opas sam przyznaje, że właściwie brak mu szkoły i szkoda, że z tym technikom mu wtedy nie wyszło. Więc abonuje prasę fachową, a kiedy jest w mieście zawsze odwiedza księgarnię, tak na wszelki wypadek, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś nowej pozycji, która by mu pomogła lepiej poprowadzić gospodarstwo.

Ale z tą literaturą fachową nie jest najlepiej, najczęściej przynosi wiadomości przestarzałe, mało przydatne. A co gorsza także z poradnictwem zawodowym nie jest na wsi najlepiej. No, bo jeśli agronom ma gorsze wyniki od rolników, to nie wiadomo kto kogo powinien

uczyć. Na roli rozstrzyga praktyka, osiągnięte rezultaty. Tego się nie da ukryć, bo i tak szybko wyjdzie na wierzch. Chociaż na efekty wpływa tyle nie raz sprzecznych czynników, że nie łatwo się w tym polapać.

— Kiedyś miałem w swoim gospodarstwie — zauważa Opas — kierunek zbożowy.

Dlaczego? Bo do tego zmuszała ogólna polityka rolna, system obowiązkowych dostaw. Trzeba było brać się dosłownie za wszystko, uprawiać wszystkie rodzaje zbóż. A kiedy coś się nie udało, rozpoczynała się nerwowa krzątanina. Trzeba było pszenicę, która akurat obrodziła, zawieźć na targ i sprzedać, żeby na tym samym targu kupić za te pieniądze brakującego żyta. Tak samo z inwentarzem.

— Teraz — powiada Opas — to się zmieniło. Otworzyła się szansa dla tych, którzy potrafią myśleć. Przede wszystkim dla młodych, którzy nie poddają się przesądom. Zmiany w polityce rolnej spowodowały, że teraz można się specjalizować. Na przykład ja nastawiłem się na hodowlę.

Na czym to polega? Wyjaśnia obrazowo. Czy widziałem jego stodołę, czy się jej przyjrzałem? Tak jest, stara i pochylona, ale nowej budować nie będzie, jeszcze tę starą rozbierze na deski.

— Bo mnie — mówi dobitnie Opas — stodoła w ogóle nie jest potrzebna.

A dlaczego? To przecież zupełnie proste. On przeszedł na kiszonkarstwo.

Wprawdzie kontraktuje jeszcze zboże z dwóch hektarów, ale to raczej po to, by nie zapomnieć jak wygląda kosa. I ze względu na tęsiową, której nie smakuje chleb z państwowej, kupowanej maki. Dają piekarzowi swoją, bielszą. Owszem, ma jakie takie wyniki, 30 kwintali z hektara przy zużyciu 140 kg czystego składnika nawozów sztucznych. Ale to raczej zabawa, bo naprawdę interesuje go tylko zielonka. Łąkę kosi trzy razy w roku, a sąsiedzi tylko dwa razy, podpatrzył tego nie potrafią. Zboże też ścina, kiedy jest jeszcze zielone, może to teraz robić własnym ciągnikiem, bo jest wieloczynnościowy i tylko wypożycza z bazy „Orkana”.

Albo inny problem, ot, choćby przykład z kolonii Będków, miał o tym właściwie nie mówić, bo pan wie, jak to jest, ale skoro już zaczął. Może zauważyłem po drodze walącą się chałupę? O właśnie, taki dom, który wygląda, jakby w nim nikt już nie mieszkał. Ale to złudzenie, bo tam, opuszczony przez wszystkich mieszka starszy człowiek. Gromada zrobiła, co mogła, posłała urzędowe pisma.

— Sam jeździłem do powiatu — ożywia się Opas.

Ale i na tym się skończyło, bo nie ma miejsca w Domu Starców.

— No więc, jak sam pan widzi, nie jest jeszcze tak łatwo na wsi.

Opowiada jeszcze kilka historii o starych ludziach.

— A młodzi? — Pytam.

— Młodzi? — Powtarza Opas. — Nie zawsze mogą robić to, co by potrafili. Ja jestem w pewnym sensie szczęściarzem. Od pewnego czasu sporo mi się udaje. Nawet wszystkie pokazy dla rolników odbywają się u mnie. Niedawno zjechał się z całego powiatu, żeby zobaczyć jak wygląda wzorowe parowanie ziemniaków, nawet niektórzy moi sąsiedzi przyszli. Bo widzi pan, powodzenie bierze się ze zdolności przewidywania. Dlatego będę budował tę nowoczesną oborę. A poza tym ziemię trzeba pokochać i zrozumieć.

KONRAD FREJDLICH



Opowiadanie z łódką w herbie

Biblioteka „Łódzianów” wzbogaciła się ostatnio o nową pozycję. Jest nią retrospektywny wybór opowiadań Antoniego Kasprówicza, autora wydanych wcześniej tomów prozy: „Pod kwitnącym kaszlanem”, „Złodzieje owoców” oraz „Dzielnica plebejusów”, a także sześciu zbiorów wierszy, które, jak mi się wydaje, miały wpływ na poczynania pisarza w prozie. Bowiem Kasprówicz jest autorem jednego tematu, jednej obsesji, tematu łódzkiego. W poezji, zwłaszcza w pierwszych próbach, udawało mu się to niekiedy zaszyfrować, chociaż i tam silnie dochodził do głosu łódzki kolor. W prozie świadomie rezygnuje z tej pseudonimacji i doprawdy nie ma w tym ani odrobiny przesady, że dał swojej najnowszej książce tytuł: „Opowiadania łódzkie”.

Kasprówicz jest plewą robotniczych przedmieść, które zna z autopsji, bowiem jest, a raczej był, jednym z tych, których teraz, po latach, opisuje. Niektóre z jego opowiadań mają wręcz autobiograficzny charakter. Toteż dokonuje w nich nie tylko rozrachunku z rzeczywistością dwudziestolecia międzywojennego. Jest to przede wszystkim rozrachunek z własną mło-

dością, a pośrednio także splota długą tym wszystkim, którzy ukształtowali go jako człowieka, nauczyli go bezkompromisowego, klasowego spojrzenia na świat. Twórczość Kasprówicza należy bowiem do tych zjawisk artystycznych, które znany socjolog profesor Stefan Czarnowski określił przed laty jako „powstawanie nowej kultury”.

Ale, rzecz zastanawiająca, w porównaniu z wierszami Kasprówicza, które operują szeroką skalą i wielkimi uogólnieniami, proza jest wysejzowana, kameralna, jakby bardziej osobista. Temat walki proletariatu o wyzwolenie społeczne bodaj tylko raz zostaje w tych opowiadaniach podjęty bezpośrednio („Pojedynki”). Znacznie więcej uwagi poświęca Kasprówicz problematyce codziennej egzystencji, warunkom bytowania, a także drobnym dramatom ludzkim, które choć są pochodną ogólnych spraw społecznych, to mają przecież swoje indywidualne korzenie. Bo Kasprówicz nie akceptuje tej szkoły literatury, doskonale znanej nam z lat pięćdziesiątych, która zastępowała socjologiczną wizję społeczeństwa. A więc częściej sięgała do statystyk, niż przyglądała się człowiekowi.

A przecież z tej codzienności opisywanej przez Kasprówicza, wylania się w jego książce pejzaż nie tylko łódzki, ale także pejzaż społeczny, wraz z wszystkimi uwarunkowaniami społecznymi. Jeśli nie poznajemy ich mechanizmu, to w każdym razie poznajemy ich skutki. Zresztą Kasprówiczowi to nie wystarczy, zbudował swoją książkę symetrycznie, przeciwstawiając opowiadaniom z międzywojennych przedmieść, utwory nowe, których akcja rozgrywa się w Łodzi współczesnej, a w każdym razie powojennej. Często zabrzmi w nich tamten gorzki ton opowiadań wcześniejszych (np. „Jeszcze Polska...”), bo Kasprówicz, nawet afirmując rzeczywistość, nie popada w uproszczone złudzenia. Ale chyba najciekawsze jest opowiadanie „Odwiedziny”, którego narrator konfrontuje swoje wspomnienia młodości z doznaniem ludzi niegdyś mu bliskich. Jest socjalistycznym dyrektorem, spotkał go niewątpliwie społeczny awans, mieszka w Warszawie. Ci, których znał, pozostali na przedmieściu, w zakętym kręgu dawnych spraw. I między przybyszem, bo jest dla nich teraz tylko przybyszem, a nimi, dawnymi kolegami nie

ma porozumienia. Widziałbym w tym opowiadaniu niejako głębszy, osobisty podtekst. Pisarz proletariacki, za jakiego uważa się Kasprówicz, może odczuwać niepokój, czy uprawiając typową inteligentką profesję, jaka jest praca literacka, nie odchodzi od swojej klasy. Przecież dawno już minęły te czasy, gdy wiersz był formą walki, gdy był rodzajem ulotki, którą podchwytowała ulica. Przypomnijmy choćby utwór „Zagłębie Dąbrowskie” Broniewskiego, na który cała sala zareagowała okrzykiem: „Gotowe!”.

Dziś literatura proletariacka nie ma już tej agitacyjnej siły oddziaływania. Stała się literaturą artystyczną. Opowiadania Kasprówicza zebrałem w retrospektywnym tomie są tego najlepszym potwierdzeniem.

KONRAD FREJDLICH

Antoni Kasprówicz: „Opowiadania łódzkie”, Wydawnictwo Łódzkie 1972, cena zł 14.

FILM

CO TO ZNACZY-

„HUMANISTYCZNE

KINO“?

Doskonale przyjęcie filmu Francois Truffaut „DZIKIE DZIECKO” — dobra prasa i poparcie publiczności jest w jakimś sposób znamienne, a pozwala się tłumaczyć względami pozartystycznymi. Uznano we Francji ten film za wybitne osiągnięcie kina humanistycznego, stosowanie zaś tego określenia przywołuje jego przeciwieństwo, czyli fakt istnienia w społecznej świadomości kina ahumanistycznego.

Jeśli mój Naczelny pozwoli, bo sprawa z powodu wakacji nieco odległa, chciałabym w tym miejscu, tak zupełnie a propos powrócić do krótkiej, lecz gwałtownej polemiki, którą wywołały moje uwagi o filmie „Tylko dla orłów”. Mój pogląd, iż film ten jest wymownym przykładem ahumanistycznych tendencji szerzących się w światowym kinie, wywołał sprzeciw mego kolegi, Jerzego Wilmańskiego. Powiedziałabym nawet, że powyższym sformulowaniem precyzuję swe stanowisko w tej sprawie silniej, aniżeli w samej recenzji, a czynię to po to, by tym razem być lepiej zrozumiana. Nie muszę przysięgać, że w filmie tym dostrzegłam konwencje baśni i legend, bo o tym pisałam, choć kolega mój tego się nie doczytał. Przysięgam natomiast, że to nie historia kazala mi widzieć w tym filmie ogrom okrucieństwa, którego ekspozycja wcale nie służy przekazaniu humanistycznych treści tego filmu. Nie wdając się w szczegóły polemiki, powtórzę jedynie, iż budzenie niezdrowej emocji samym aktem zabijania i umierania, iż demonstracja walki i aktu zabijania tak, że czyni zeń morderstwo okrutne i profesjonalne a przekazana z precyzją budząca uczucie obrzydzenia, musi mieć cechy antywychowawcze, czy wprost amoralne. To zaś nigdy nie chodzi w parze z szeroko pojętym humanizmem.

Fakt, że wojna zmusza ludzi do zabijania, czyni ich nawet czasami mordercami, stawia w sytuacjach przekraczających zwykłe, ludzkie wyobrażenia o moralnym postępowaniu, pozostawia tragiczne ślady w ich psychice — był tematem tak ogromnej ilości dzieł w światowej literaturze, teatrze i filmie, że choćby tylko dlatego trudno mi pogodzić się z koncepcją tak prosto „pozytywnych” bohaterów filmu, której tak gorąco Jerzy Wilmański broni.

Przy wszystkich słowach, których rodowodem jest verbum „homo” zwykliśmy „wytaczać armaty”, niechaj więc mój kolega wybaczy ich kaliber, choć, jak na męczyznę przystało użył większego niż ja.

Jeżeli do tej sprawy wróciłabym, to dlatego, że przypadek „Tylko dla orłów” jest znamienny dla tego wszystkiego, co często w kinie współczesnym odnaleźć możemy, a co delikatnie nazwać można zastraszającą szerzącą się ambiwalencją moralną, szczególnie niepokojącą i niebezpieczną w tej najpopularniejszej ze sztuk.

Nie dziwię się, że film Francois Truffaut nazwano osiągnięciem kina humanistycznego, jego proste piękno przy, wbrew pozorom, wcale nie prostym pytaniu, daje satysfakcję tym, którzy w filmowym świecie gwałtu, okrucieństwa i dwuznaczności moralnej, szukają właśnie spraw, które nigdy, nawet wtedy, gdy mówi się o niby prostych ludzkich sprawach — łatwiej nie są. Znamy Truffaut jako jednego z mistrzów nowoczesnego kina, które często kojarzyć się nam zwykło z poszukiwaniami formalnymi. Truffaut, autor „Dzkiego dziecka”, preferuje prostotę formy, graniczącej z ascetą. Można by powiedzieć, lecz byłaby to nieprawda, iż reżyseria nie była jego główną pracą w tym filmie, skoro sam zagrał doktora Itard, zajął się małym bohaterem, bo widocznie kontakt z nim był najważniejszy.

Truffaut film swój oparł na autentycznych raportach prawdziwego lekarza Jean Itarda, który u schyłku XVIII wieku podjął się próby przywrócenia człowiekowi — człowieczeństwa. Latem 1798 roku wieśniacy francuscy znaleźli w lesie 12-letniego chłopca, egzystującego życiem dzikiego zwierzęcia. „Dzkie dziecko” staje się obiektem ciekawości tłumów i ciekawości medycyny. Dla doktora Itard walka o Viktora, walka o jego człowieczeństwo, o przywrócenie go samemu sobie, jest sprawą główną (tak rzecz przynajmniej interpretuje Truffaut). Ciekawość lekarza jest ciekawością drugą — zglębienia tajemnic życia psychicznego, świadomości, inteligencji, uczuciowej i moralnej wrażliwości.

Towarzystwimy trudnej walce o człowieka i w tym szukaniu śladów, ba, właśnie w mądrym kształtowaniu człowieka odnajdujemy pokłady humanizmu, wcale nie prostego, głęboko poruszającego. Właśnie ów niezwykły, więcej niż kliniczny przypadek uzmysławia cały proces kreowania człowieczeństwa, na które składa się nie tylko dziedzictwo ludzkiego rodowodu. Opowieść o „dzikim dziecku”, jego późnym i straszliwym trudnym wchodzeniu nie tyle przecież w świat cywilizacji, co ludzkiego myślenia i odczuwania, jest niezwykle dramatycznym przypomnieniem prawd i okoliczności, towarzyszących kształtowaniu człowieka. A, że nie ma w tym filmie prostej odpowiedzi na pytanie, czy być człowiekiem, to znaczy być szczęśliwym? Nikt chyba jednak odpowiedzi tej tu nie szuka. W obliczu procesu, któremu towarzyszymy, takiego pytania zadać nie można. Francois Truffaut okazał się jeszcze raz mistrzem interpretacji tematu, przy którym absolutna prostota jest partnerem serca, wzruszenia i mądrości, a wcale nie prostej ludzkiej sprawy — bycia człowiekiem.

EWA NURCZYŃSKA

TELEOBIEKTYW

Specjalność - telewizyjny twórca

Leszek Piażewski napisał kilka lat temu opowiadanie p.t. „Niedziela Barabasa”. „Było to jedno z tych monotematycznych opowiadań młodego pisarza, który na ówczesnej giełdzie literackiej zajmował dość odrębne miejsce, mimo pozornych paraleli z twórczością Marka Nowakowskiego. Świat bohaterów Piażewskiego to ludzie często na pograniczu społecznego marginesu. Ich życie biegnie bez większych atrakcji, gdzieś w trójkącie: praca,

dom, kiosk z piwem. Ich świat to małe miasteczko, peryferyjna dzielnica dużego miasta.

Podobne zainteresowania przejawia młody reżyser Janusz Kondratiuk. Mogłiśmy się o tym przekonać po filmie „Dziewczyny do wzięcia”, który nie tak dawno prezentowany w telewizji. Nie więc dziwnego, że opowiadanie Piażewskiego posłużyło Kondratiukowi jako materiał do następnego filmu, dodajmy też wahania, bardzo udanego. Obaj autorzy

wzbudzają moją sympatię nie tylko tym, że sięgają po trudne współczesne tematy, „niewdzięczne” jak zwykle to bywa — ale robią to dobrze i ciekawie również pod względem formalnym. Groteskowa „Niedziela Barabasa” miała bezbłędną dramaturgię, a w swej lapidarności mocną społeczną wymowę, zamknięta została dowcipną i udaną pointą. Pomyśl i fabuła filmu jest niezwykle prosta. Jest mecz piłkarzki. Za bramką staje żona piłkarza broniącego bramki. Kobieta zaczyna gadać, trąkając jak maszynowy karabin, płakać, wymyślać mu, silić na czułość. Człowiek w bramce jest bezbronny. Boi się śmieszności, kompromitacji przed kolegami, do której w końcu dochodzi. Jego kobieta jest okrutna w swej zajadłości, ale jest również ofiarą. Ofiarą nieudanego życia, żalostnej konfrontacji między nadziejami a rzeczywistością.

* * *

Mineło kilka dni od śmierci Jana Kreczmara, kiedy powtórzono „Śmierć gubernatora” Leona Kruczkowskiego. Miałem już kiedyś pretensje do doc. Treugutta za rozmowę z Fijewskim. Teraz nie mogę jej mieć, bo ktoś mógł przewidzieć, że Jan Kreczmar odwiedza telewizyjne studio po raz ostatni. I rozmowa była krótka, parę słów zaledwie, ale i tak o swoim znaczeniu. Te kilkanaście zdań zostało zarejestrowane na taśmę w

lipcu, przedstawienie kilka lat wcześniej. Ważny dokument gry aktorskiej i liczący fakt teatralny. Miałem okazję trzykrotnie obejrzeć „Śmierć gubernatora”, w trzech różnych inscenizacjach. Ta, którą przedstawił nam Adam Hanuszkiewicz wydaje mi się osiągnięciem największej miary. Hanuszkiewicz nie tylko wyreżyserował dramat Kruczkowskiego, ale dokonał adaptacji tekstu zgodnie z wymogami telewizyjnej specyfiki. Lecz to nie wszystko. Dokonane skróty uczyniły sztukę bardziej zwięzłą, jednolitą treściowo i formalnie. W moim przekonaniu Hanuszkiewicz nie nie uronił z intencji autora, a raczej uczynił je bardziej klarownymi i czytelnymi dla odbiorcy.

* * *

Jeśli już jesteśmy przy Hanuszkiewiczzie to warto wspomnieć o jego „bieżącej” pozycji w telewizji. W drugim programie TV, który jakoś nie może znaleźć własnego odrębnego wyrazu, od kilku tygodni możemy się cieszyć „Opowieściami mojej żony”. Według książki Mirosława Żulawskiego, pod takim samym tytułem, Studio 63 prezentuje nam kolejne odcinki. Hanuszkiewicz jest w tym wypadku autorem scenariusza, reżyserem i aktorem, mężem swojej żony, Zofii Kucówny. Ten aktor-sko-rodzinny duet jest w doskonałej formie.

JAROSŁAW TARNO

SPORT

CIEŃ

NA

OLIMPIJSKIM STADIONIE

Tego nikt nie przewidział. W przedolimpijskich rozważaniach o szansach zawodników, medalach i rekordach, nie było, bo i nie mogło być miejsca na myśl, że pokojowe w swojej istocie spotkanie najlepszych sportowców całego świata może być wykorzystane dla tragicznych rozgrywek politycznych. Rzeczywistość już nie raz pokazała, że trudno oddzielać sport od polityki. W historii nowożytnych Olimpiad już trzy razy — w 1916, 1940 i 1944 roku — wojna przeszkodziła spotkaniu sportowców. W 1972 r. Olimpiada w Monachium została przerwana na jeden dzień, 5 września 1972 roku zbrodnica grupa komandosów palestyńskich z eksterminacyjnej organizacji „Czarny Wrzesień” wdarła się na teren wioski olimpijskiej. Padły strzały, zginęli ludzie. Na olimpijski stadion padł cień mordy.

Światowa opinia publiczna, a w tym również społeczeństwo polskie, potępiała ten barbarzyński wyciecznik, który przerwał olimpijski pokój. Jednocześnie każdy z nas zastanawia się, jak mogło dojść do tych tragicznych wydarzeń. Z doniesień agencyjnych wiemy, że wioska olimpijska i stadiony sportowe były pilnie strzeżone, że trudności z

poruszaniem się po olimpijskich terenach mieli nawet dziennikarze. Tuż przed wdarciem się terrorystów palestyńskich do siedziby ekipy zawodników izraelskich, do hali pływakowej nie wpuszczono przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego lorda Killanina tylko dlatego, że zapomniiał zabrać ze sobą kartę wolnego wstępu. Czułość służby porządkowej nie zawsze widać była należytą, bo już po wypadkach z 5 września na tor kolarski wdarło się trzech niezidentyfikowanych obywateli irlandzkich, którzy przebrani w stroje ekipy tego kraju rozrzucali ulotki przeciw polityce brytyjskiej w sprawie Ulsteru.

Nielatwo jest pisać o Igrzyskach w Monachium ze świadomością tych wydarzeń. Zmusza to do innego spojrzenia na wycieczki sportowe. Emocje, jakich dostarcza rywalizacja zawodników, nie są już tak czyste sportowe, nie cieszą tak, jak cieszyły do momentu, kiedy padły strzały. Życie jeszcze raz pokazało, że zawódka wszelkie przewidywania i kalkulacje, również i te sportowe.

W chwili, kiedy to piszę, do zakończenia XX Olimpiady w Monachium zostały jeszcze cztery dni. Ale już

teraz niektórzy nazywają ją Olimpiadą, która przyniosła klęskę mistrzów. Wielu, wydawałoby się pewnych kandydatów do olimpijskich medali przegrało swoje konkurencje. My również mieliśmy swoich, wydawałoby się pewnych kandydatów do zwycięstwa. Liczyliśmy na złoty medal Jerzego Pawłowskiego, liczyliśmy na złoto, które wywalczy Waldemar Baszanowski. Nie było złota. Ale czy ich przegraną koniecznie musimy nazywać klęską? Czy od ludzi, którzy już tak wiele zrobili dla polskiego sportu, zawsze musimy oczekiwać największej koncentracji i najwyższego wysiłku? Czy przypadkiem wcześniejsze typowanie faworytów nie stwarza dla nich dodatkowego obciążenia psychicznego, czy później, kiedy zawiądują nasze oczekiwania nie jest to dla nich krzywdą? Nikt nie lubi przegrywać i trzeba wierzyć, że każdy prawdziwy sportowiec daje z siebie wszystko, aby w konfrontacji z przeciwnikami wypaść jak najlepiej. A przecież urok sportowych emocji polega na tym, że równe szanse ma i rekordzista i zawodnik, na którego nikt nie liczył. Umiemy spokojnie patrzeć i w sposób naturalny przyjmować porażki nie naszych sportowców, o których zwykle się myśli jako o kandydatkach do medali. Nie umiemy w sposób właściwy przyjmować porażek własnych faworytów.

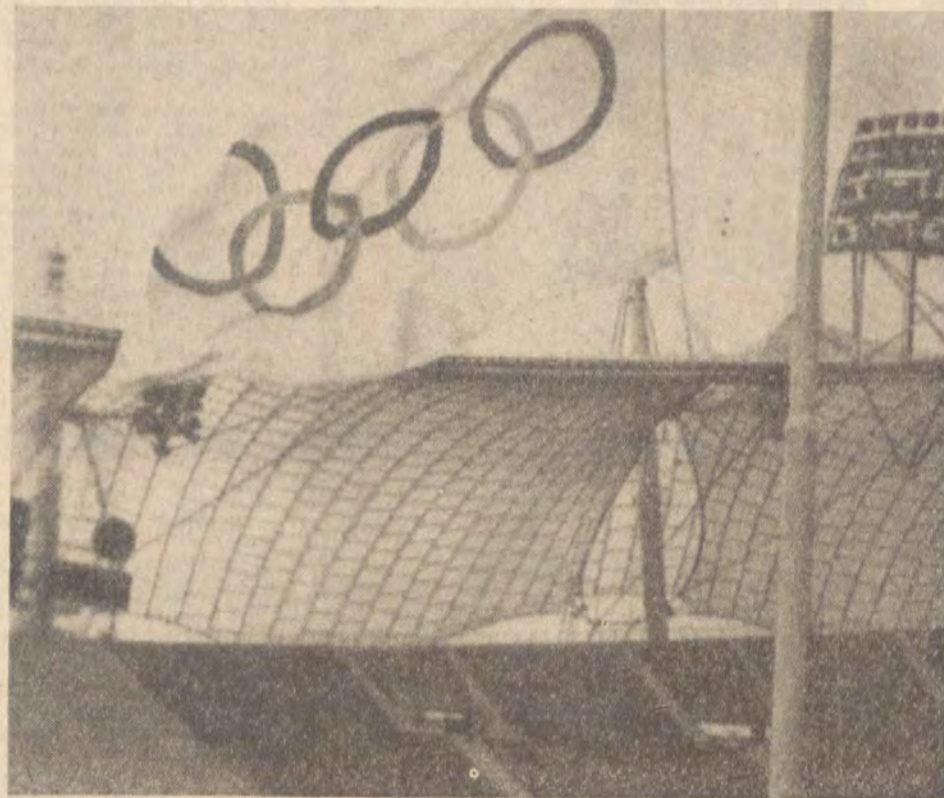
I nie zawsze pomagają nam w tym komentarzy radiowi i telewizyjni. To przecież jeden z nich z porażki Jerzego Pawłowskiego zrobił niemal tragedię narodową a inny, po przegranym biegu Kazimierza Marandy, który przecież z poważną kontuzją dotarł jednak do mety i za to należały mu się takie same brawa, jak za zajęcie jednego z czołowych miejsc, zapytał: „Bohdan, czy ty jesteś zupełnie pewien, że to tylko upadek Marandy zdecydował o tak dalekim miejscu? Pytanie to, zadał w chwili, kiedy Marandę znoszono ze stadionu do szpitala. Ta podejrzliwość była nie tylko nie fair w stosunku do Kazimierza Marandy, ale wynikała z niebardzo właściwego traktowania naszej ekipy. Kiedy Norbert Ozimek walczył o srebrny medal, na zawody te poszło podobno tylko

trzech polskich dziennikarzy, bo nikt nie wierzył w jego sukces. Pewne zastrzeżenia może też budzić na przykład sposób wyrażania się naszych sprawozdawców. O Irenie Szewińskiej mówią per „pani Szewińska” lub „pani Irena”, w wypadku wszystkich pozostałych zawodników nie tylko nie używają takiej formy, ale najczęściej zapominają nawet o imieniu. Co oczywiście wcale nie znaczy, że

tych, którzy walczyli dawniej. Z pewnością dlatego, że Bohdan Tomaszewski, relacjonując zawody sportowe potrafił na nie spojrzeć także jak humanista.

W chwili, gdy to piszę jeszcze nie wszystkie medale olimpijskie zostały rozdzielone. Polska, jak do tej pory zdobyła cztery złote, trzy srebrne i trzy brązowe medale. Wiadomo już, że nie powtórzymy medalowego sukcesu z pamiętnej Olim-

piady w Tokio. Nie wiadomo, czy dorównamy ilości medali przywiezionych z Meksyku. Ale już teraz można zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy. Przyczynkiem do tych rozważań powinny być wyniki osiągane przez zawodników NRD, którzy w klasyfikacji medalowej zajmują trzecie miejsce po takich potęgach światowego sportu, jak ZSRR i USA. Zdaję sobie sprawę, że przypominając o sukcesach zawodników NRD, ponownie zwracam uwagę na to, o czym pisze się i mówi od dawna — na kom-



nie cenie sobie sukcesów Ireny Szewińskiej i nie ciesząc się z jej brązowego medalu.

Z całej plejady sprawozdawców z Olimpiady korzystnie wyróżnia się Bohdan Tomaszewski, pod którego adresem swego czasu powiedziano sporo złośliwości. Co by się jednak o nim nie mówiło, jest to sprawozdawca, który relacjonując finałowe zmagania, pamięta o zawodnikach, broniących przed laty polskich barw, i który podpowiada nam, że patrząc na nowych zwycięzców, nie powinniśmy zapominać o

plady w Tokio. Nie wiadomo, czy dorównamy ilości medali przywiezionych z Meksyku. Ale już teraz można zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy. Przyczynkiem do tych rozważań powinny być wyniki osiągane przez zawodników NRD, którzy w klasyfikacji medalowej zajmują trzecie miejsce po takich potęgach światowego sportu, jak ZSRR i USA. Zdaję sobie sprawę, że przypominając o sukcesach zawodników NRD, ponownie zwracam uwagę na to, o czym pisze się i mówi od dawna — na kom-

Nasz kult mistrzów i faworytów bierze się stąd, że mamy świadomość braku ich następców. I dlatego Olimpiady traktujemy jako sprawdzian mistrzów. A przecież powinien to być sprawdzian całego naszego sportu.

BOGDA MADEJ

P.S. Złoty medal dla Władysława Komara, złoto dla piłkarzy. Tego też nikt z nas nie przewidywał. Cieszymy się z sukcesów, byle ta radość zanadto nie zawyżyła na obiektywnej ocenę naszego sportu. Na teraz i na przyszłość.

B.M.

Opowieści nie tylko fantastyczne



Fakty są prawdziwe, fantastyczna jest tylko ich interpretacja. Ale kto dokładnie wie, jak to było przed tysiącami lat? W Troje, opisana przez Homera, też nikt nie wierzył, dopóki jej nie odkopano.

Od kilku tysięcy lat ludzie szukają odpowiedzi na pytanie, czy istniała na Atlantyku wyspa zwana Atlantydą. Pierwsze pisane wzmianki o niej można znaleźć w dialogach Platona: „Timaios” i „Krytyas”. W egipskiej świątyni w Sais istniał ponoć dokładny opis tej wyspy. Opowiadał o tym egipski kapłan greckiemu medreowi Solonowi. Solon, który żył w latach 640-599 p.n.e., po powrocie do Aten nigdzie nie opublikował tej opowieści, a przekazał ją ustnie swoim najbliższym. W sto lat później dowiedział się o tym Platon od Krytiasa.

Atlantida była wyspą szczęśliwości, rządzili nią mądrzy i potężni królowie, którzy wywodzili się od bogów. Jej mieszkańcy żeglowali po morzach świata i temu właśnie zawdzięczamy — jak utrzymują niektórzy — wiele podobieństw w przeszłości starożytnego Egiptu i cywilizacji Majów.

Coż stało się z Atlantydą? ...Przyszyły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna — wtedy (...) wyspa Atlantida (...) zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła — powiadział kapłan egipski Solonowi, a ten powtórzył to Krytiasowi Starszemu, który opowiadał o tym w rodzinie i tak opis ten dotarł do Platona. Trze-

ba przyznać, że źródło to wątpliwe, bo przekaz krążył z ust do ust i kto dziś zagwarantuje, czy nie został odpowiednio ubarwiony.

Jest jednak w mitologii greckiej inna opowieść, którą wspominał starożytny kapłan z egipskiego miasta Sais. „...Mówia, że Faeton, syn Heliosa, zaprzął raz konie do wozu ojca, a że nie umiał pędzić po tej samej drodze co ojciec, popalił wszystko na ziemi i sam zginął od pioruna. To się opowiada w postaci mitu, a prawdą jest zbaczenie ciał, biegnących około Ziemi i po niebie i co jakiś długi czas zniszczenie tego, co na ziemi, od wielkiego ognia.”

Szukali wybruki Faetona były oplakane. Nastąpiło naruszenie dotychczasowego porządku. Tam, gdzie było ciepło, zapanało teraz zimno, lody skły rzeki i jeziora, a tam, gdzie było zimno, stały się śniegi, wyparowały rzeki, a lądy i morza zmieniły swoje brzegi. Wody zalały wiele ludzkich siedzib. I znow ślad jest staby, bo pochodzi z ustnych opowieści, zapisanych w wersjach, która może być znacznie różna od tej najbliższej tajemniczemu wydarzeniu.

Ale jest jeszcze jeden ślad kosmicznej katastrofy, która, być może, dotknęła kiedyś Ziemię. Oto w „Opowiadaniach egipskich” T. Andrzejewskiego znajduje się opowieść rozbitka sprzed około 2000 lat p.n.e. Utrwalono ją na papirusie, pochodzącym z czasów XII dynastii. Papirus ten przechowuje się obecnie w zbiorach leningradzkiego Ermitażu. W opowieści tej znajduje się jedno

zdanie, które mówi, że „pewnego razu spadła gwiazda, a oni (rodzina opowiadającego na Wyspie Węża — przyp. mój. K.P.) zapalili się od niej”. I takie przedziwne opowieści można też znaleźć w legendach innych ludów ze wszystkich niemal kontynentów.

wyliczyli, że w roku hipotetycznej katastrofy Atlantidy — Ziemia, Księżyc, Wenus i Słońce jednego dnia znalazły się wszystkie na jednej prostej linii. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie przypadek, że jedna z planetoid, liczące obiegających Słońce, zbliżyła się

krzywień orbity owej nieszczęśliwej planetoidy i ta... trafiła w Ziemię. I to właśnie w Atlantydę.

Autorem tej teorii jest Otto Muick, zajmujący się badaniem śladów istnienia Atlantidy. Myliłby się jednak ten, kto uważałby, że autor wydaną w 1956 roku „Atlantis, die Welt vor der Sintflut”, popuścił nadmierne wodze fantazji. Hipotezę katastrofy kosmicznej, która nawiedziła kiedyś Ziemię, nasunęły mu pewne fakty. Oto w 1932 roku dokonano zdjęć lotniczych pewnej części Karoliny. Po ich skierowaniu ukazał się oczom patrzących krajobraz przypominający powierzchnię Księżyca. Kraterzy pokrywały obszar 163 km kw., ale jest to tylko część powierzchni Ziemi zbombardowanej odłamkami ogromnego ciała niebieskiego. Nie jest to również ślad luznego bombardowania meteorami. Kraterzy ułożone są łukiem, a ich znaczna część znajduje się w... Oceanie Atlantyckim.

Ludwig Zajdler, autor wspomnianej już „Atlantidy”, przytacza jeszcze inne dowody takiej katastrofy, która przed tysiącami lat miała miejsce na Ziemi. Opierając się na spostrzeżeniach geofizyków — Alfreda Wegenera i Allana O. Kelly'ego, utrzymuje on, że przed zderzeniem Ziemi z planetoidą, biegun północny znajdował się w Cieśninie Hudsona. A więc dzisiejszy biegun znajduje się na peryferiach ówczesnej strefy podbiegunowej. Syberia znajdowała się wtedy w strefie klimatu umiarkowanego. W momencie zderzenia się planetoidy z Ziemią, ta ostatnia zmieniła położenie względem nieruchomej osi obrotu, i stało się to, co

przekazuje nam mit o wycieczce Faetona. Stopniały nagłe śniegi w górach, zamaryły rzeki. Obszar Syberii ogarnęło zlodowacenie, a w miejscu, gdzie wypadł nowy równik, nastąpiły zmiany kształtu skorupy.

Nie jest to tylko fantastyczne przypuszczenie. Do dziś bowiem nikt nie potrafi wyjaśnić nagłej śmierci syberyjskich mamutów. W odkopanych współcześnie, a doskonale zakonserwowanych w wiecznej zmarzlinie, zbadano treści ich wielkich żołądków. I odkryto w nich resztki liści modrzewi i brzoź, które dziś rosną o 750 km od znalezisk, ale które mogły wtedy rosnąć w rejonie, gdzie żyły mamuty.

Dlaczego po ówczesnej katastrofie zachowały się tylko zwłoki mamutów? Przypuszcza się, że nagle ochłodzenie spowodowało śmierć wielu wówczas żyjących zwierząt, ale zniszczyła ich fala powodziowa. Natomiast mamuty, ważące po kilka ton, osadły w mule i zamaryły w nim po nagłym ochłodzeniu. To nagle ochłodzenie nie jest niezłym wymysłem. Godzi się z nim wielu uczonych, badających przeszłość Ziemi i życia na niej. Nie próbują oni jednak odpowiedzieć na pytanie, co było przyczyną takiego ochłodzenia. Te odpowiedzi spróbować dać ci, którzy niepokoi fakt istnienia lub nieistnienia Atlantidy. Czy dałi odpowiedź prawdziwą, czy tylko bliższą prawdy, a może zupełnie błędną? Wątpliwość te, być może, rozwieje kiedyś nauka. Ale takich pytań, na które dziś nie mamy odpowiedzi, jest znacznie więcej.

KRZYSZTOF PORĘBSKI



Czy rzeczywiście na Ziemi spadła kiedyś gwiazda? Astronomowie: Ludendorff i Henselung — jak podaje w wydanej niedawno książce pt. „Atlantida”, Ludwig Zajdler —

w tym czasie w kierunku Ziemi. Wprawdzie Ziemia minęła już punkt styczny z orbitą tej planetoidy, ale właśnie skomasywane przyciąganie Księżyca i Wenus spowodowało większe za-

